

Jak rosyjska ropa umknęła nagonce



Zachód przystąpił do polowania na grubego zwierza. Na największego światowego eksportera ropy i paliw. Chciał uczynić Rosję naftowym pariasem, którego nie przyjmuje na salonach. I któremu przede wszystkim odbiera się pieniądze.

Po wybuchu ukraińskiej wojny, Ameryka przystąpiła do wojny handlowej z Rosją. Wprowadziła błyskawicznie embargo na import rosyjskiej ropy, to samo zaleciła Europie. Ta wykonała polecenie, choć szło to boleśnie i długo. Później nastąpił kolejny etap odbierania Moskwie dochodów z eksportu. Zachód wprowadził „pułap cenowy” – zakaz kupowania i transportu ropy rosyjskiej powyżej pewnej ceny (na początek ustalono ją na 60 USD). Głównym wykonawcą tego zlecenia były europejskie floty tankowców, banki, ubezpieczyciele. Tak rozpoczęło się polowanie na rosyjską ropę po całym świecie. Miało ono zagłodzić niedźwiedzia, a jakie przyniosło efekty?

Warto wspomnieć, że to polowanie na grubego zwierza: w 2021 r. Rosja wydobyla 13% światowej ropy (536 mln ton), więcej wydobyły tylko Stany (711 mln). Wyeksportowała z tego 264 mln ton ropy (13% globalnego eksportu), a produktów 150 mln ton (12%).

Rosja na samym początku została uderzona finansowo, po pierwsze zabranie jej pieniędzy złożonych w zachodnich bankach, po drugie rosyjska ropa była wyceniana o 25-35 USD na baryłce taniej niż Brent. To dla budżetu rosyjskiego

miesięczne straty rzędu 2 miliardów dolarów. Wszyscy chcieli zarobić na zagonionym do narożnika eksporterze. Rosyjska strategia utrzymania rynku i dochodów miała swoją cenę i kazali ją sobie płacić tak nabywcy – obniżając cenę zakupu, jak i wszyscy po drodze – transport, podwyższający piekielnie opłaty za przewóz, i ubezpieczyciele, którzy windowali w górę stawki, o ile w ogóle chcieli ubezpieczyć cargo. A bez tego – nie wejdiesz do żadnego portu. A wcześniej, latami różnica między rosyjską ropą a globalną ceną Brent wynosiła zaledwie 1,5 dolara.

Jedną ścieżką ucieczki niedźwiedzia przed nagonką były układy państwowe z państwami Azji, gdzie Rosja przekierowała dostawy, głównie do Indii i Chin. Zachód naciskał, by nie kupowali, ale te nie podporządkowały się. Jak zadeklarował Hardeep Singh Puri, minister ds. ropy, „Indie są suwerennym państwem i egzekwują swoje prawo zaopatrywania się w ropę tam, gdzie ceny są najkorzystniejsze”. Ten model się rozwija – właśnie ruszają rosyjskie dostawy do Pakistanu, gdzie można dostarczyć kilka milionów ton ropy rocznie, a rozliczane będą w walutach „krajów zaprzyjaźnionych”. W ten sposób powstanie jeszcze jedna drobna kreska na diamentowej kolumnie dominacji dolara w światowym handlu, dającej bogactwo i władzę Ameryce.

Ale nie tylko państwa, także biznes. Ktoś mający wystarczająco dużo odwagi i sprytu, no i zasobów oczywiście, może w takiej sytuacji niezwykle się wzbogacić. I właśnie w szarej strefie globalnego ładu, mieści się pewna część odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że ten potężny Zachód, skupiający ponad 60% światowego bogactwa przeciwko Rosji, nie mógł zagonić niedźwiedzia do narożnika tam, gdzie to najważniejsze – w światowym handlu ropą?

Jak tylko zaczęto mówić o sankcjach, rozpoczął się ruch w interesie w handlu tankowcami. Kupowali je Rosjanie (nie zawsze rejestrowani w Rosji), ale także Emiraty, Indie, Bliski Wschód i Azja, nie kryjąc nawet, że to dla przewozu rosyjskiej ropy. Run na tankowce był potężny, szybko sprzedawano

Suezmaxy, Aframaxy, tankowce klasy MR. Przed wojną 70% morskiego eksportu rosyjskiej ropy było obsługiwanych przez kraje zachodnie (dzisiaj: niedružestwiennyje), a niecałe 20% obsługiwały rosyjskie statki i instytucje. Teraz krajobraz wygląda zupełnie inaczej: kraje nieprzyjazne dalej obsługują 40% przewozów, Emiraty 15% i Chiny 13%. Reszta (jedna trzecia) to firmy rosyjskie albo nieznanej własności. To oczywiście zwiększa koszty transportu i eksportu, ale przy coraz większej własnej flocie, coraz więcej też zarabiają na tym Rosjanie, a coraz mniej – Zachód. **Floty europejskie, które przewoziły wcześniej 2/3 rosyjskiej ropy, biorąc udział w tej nagonce, utraciły już prawie połowę przewozów.**

Małowniczą, taką prawie piracką, ścieżką wyślizgiwania się niedźwiedzia z obławy było szmuglowanie rosyjskiej ropy i produktów. Zaczynało to się zwykle od wyłączenia transpondera (UKF) systemu AIS, umożliwiającego lokalizację tankowca. Potem odbywała się operacja STS (ship-to-ship), czyli przeładunek towaru na morzu. Przy rosyjskich portach eksportowych po wejściu w życie sankcji utworzyły się huby przeładunków morskich. Ekspansja zjawiska jest zaskakująca, jeśli na Morzu Śródziemnym jesienią nie przeładowywano jeszcze nic, a w lutym '23 przeładunki przekroczyły 22 miliony baryłek. To 20 dużych Aframaxów, to 15% całego rosyjskiego eksportu. Takie centra przeładowcze utworzyły się błyskawicznie przy wybrzeżach Grecji, Malty, Gibraltaru, tak jak kilka lat wcześniej dla obsługi szarego eksportu wenezuelskiej i irańskiej ropy powstały przy emiratach, Omanie czy Malezji.

Sprawność rosyjskich nafciarzy zadziwiła, o jej efektach już w najbliższym numerze Myśli Polskiej.

[Andrzej Szczęśniak](#)

Czeka nas węglowa masakra i obowiązkowe remonty budynków



Najbliższe lata przyniosą dla nas wszystkich znaczące i niekorzystne zmiany. Czeka nas szalona dekarbonizacja i obowiązkowa renowacja energetyczna budynków na ogromną skalę. Do tego rozważa się limity CO₂ dla każdego, które mają być liczone przez banki na podstawie naszych transakcji. Rysuje się przed nami świat, który wygląda jak fabuła dystopijnego serialu Black Mirror.

Unia Europejska nie odpuszcza ze swoim szalonym planem popełnienia ekonomicznego samobójstwa. Zachowujemy się niczym wyznawcy jakiegoś kultu, którzy mają tak wyprane mózgi, że celowo się zabijają dla wyznawanej ideologii głoszonej przez charyzmatycznego guru. Z czymś takim mamy właśnie do czynienia w Europie, która postanowiła zniszczyć swój przemysł i dobrobyt mieszkańców. Obłędne działania dotkną kolejnych dziedzin życia co może uczynić życie w zielonym komunizmie UE równie nieznośnym jak kiedyś życie w czerwonej komunie ZSRR.

Dekarbonizacja stała się obsesją unijnych decydentów. Ich zdaniem 75% zasobów budowlanych w UE jest nieefektywnych energetycznie i będzie musiała być dostosowana do nowych norm. Długoterminowy cel jest taki, że każdy istniejący budynek w UE do 2050 r. będzie bezemisyjny.

Każdy kraj członkowski ustanowi wkrótce „Krajowy Plan Renowacji Budynków”. Co 2 lata będą wymagane sprawozdania z postępów prac. Wejdą w życie „paszporty renowacji”, które będą

udostępniane właścicielom budynków. Przed nami renowacje budynków na ogromną skalę. Każdy budynek będzie posiadał świadectwo charakterystyki energetycznej wg. unijnego wzoru. Każde ogłoszenie sprzedaży lub wynajmu mieszkania musi mieć w treści zawartą klasę energetyczną. Świadectwo energetyczne będzie musiało wisieć w widocznym miejscu w każdym budynku publicznym!

Nowe budynki będą musiały posiadać stacje ładowania samochodów elektrycznych oraz miejsca dla rowerów. Będzie promowane przejście na „miękką mobilność” czyli przesiadkę na rower. Mamy być biedni jak Chińczycy 30 lat temu i pedałowac wszędzie siłą własnych mięśni.

Od 2030 każdy nowy budynek, również mieszkalny, będzie musiał być bezemisyjny, zgodnie z wytycznymi UE. Co rozumiane jest jako bezemisyjność? Ma to być dom niegenerujący emisji gazów cieplarnianych, ogrzewany ze źródeł odnawialnych wytwarzanych na miejscu lub w pobliżu (wiatr, słońce, energia geotermalna, biomasa). Powstaną też tak zwane „normy portfela hipotecznego” czyli mechanizmy motywujące wierzycieli hipotecznych do ulepszania energetycznego budynków objętych hipotekami oraz do zachęcania potencjalnych klientów do zwiększenia efektywności energetycznej ich nieruchomości.

Każdy nowy budynek będzie miał obowiązek przedstawienia śladu węglowego. Wielki plan renowacji budynków obejmie przegląd krajowych zasobów budowlanych. Każde państwo członkowskie będzie przedkładać swój plan renowacji budynków. Zapowiadane są konsultacje społeczne na szeroką skalę. Jedynymi budynkami wyłączonymi z programu renowacji będą budynki obronne, sił zbrojnych, miejsca religijne, obiekty tymczasowe oraz budynki wolnostojące do 50m².

Nowe budynki będą musiały posiadać panele fotowoltaiczne. Każdy nowy budynek mieszkalny deweloperski będzie musiał posiadać instalację wbudowanego okablowania dla co najmniej 50% miejsc parkingowych, aby umożliwić

zamontowanie stacji ładowania w każdym momencie. Obowiązkowe będą również parkingi dla rowerów.



Każdy budynek w UE będzie miał swoje oznaczenie energetyczne od A do G jak sprzęt AGD. Najwyżej będzie klasa A0 oraz A+ – budynek bezemisyjny wnoszący pozytywny wkład netto do sieci energetycznej. Od 2025r. każdy nowy budynek mieszkalny będzie musiał posiadać system inteligentnego ciągłego monitorowania i sterowania dystrybucją, magazynowaniem i wykorzystaniem energii. Państwa UE ustanowią kary za naruszenie dyrektywy. Przewidziane kary mają być skuteczne, proporcjonalne i odstraszające.

Zakazane będzie opalanie domów węglem czy drewnem. Zdelegalizowane zostaną kominki a z czasem również piece gazowe. Jediną preferowaną metodą ogrzewania będzie prąd elektryczny. Nad naszymi domami będą latały drony, które będą sprawdzały czy ktoś nie ośmiela się ogrzewać spalaniem czegokolwiek, a po wykryciu dymu posesję nawiedzą smutni panowie z policji lub straży miejskiej.

Doprowadzi to do tego, że ludzi nie będzie stać na posiadanie

domów i będą się ich pozbywać przenosząc się do blokowisk. Taki jest zresztą długoterminowy cel klimatystów, którzy chcą stworzyć „15 minutowe miasta”, czyli getta dla nas z których nie będzie wolno wyjechać. Klimatyczne lockdowny są częścią planu tych niebezpiecznych ludzi.

Chcą nas pozbawić samochodów, domów, każdemu z nas przydzielić limit CO₂ a niepokornym wyłączać cyfrową walutę CBDC, która zostanie wdrożona w najbliższym czasie po likwidacji gotówki. Jesteśmy na kursie i ścieżce do ziszczenia się scenariusza, który uczyni życie w UE prawdziwym koszmarem. Jeśli nic nie zrobimy, a nic na to nie wskazuje, że coś z tym zrobimy, to po prostu zostaniemy zniszczeni, albo zmuszą nas do ucieczki z Europy...

[Źródło](#)

UE przed sztormem, czyli prawie jak chińskie „zero COVID”... Idzie katastrofa



Polityka klimatyczna Unii Europejskiej zamieniła się w coś na kształt chińskiego „zero Covid”. Jednak może ona zaowocować większą klęską niż obecna – cicha kapitulacja Pekinu.

Przez trzy lata komunistyczne [Chiny](#) twardo trzymały się

strategii ani kroku wstecz, jeśli idzie o obostrzenia sanitarne. Totalitarne państwo zbudowało imponującą machinę pozwalającą: testować, kontrolować i izolować obywateli, gdy tylko pojawiło się choć najmniejsze ognisko epidemii. Kiedy reszta świata, z bardzo nielicznymi wyjątkami utraciła zupełnie kontrolę nad szerzeniem się kolejnych mutacji koronawirusa, Pekin mógł się szczycić, iż panuje nad sytuacją.

„Zero COVID”

Jeszcze w połowie października [prezydent Xi Jinping](#) podczas przemówienia inaugurującego XX Zjazd Komunistycznej Partii Chin, potwierdził utrzymanie **strategii „zero COVID”**. Niedługo potem w kraju pojawiły się symptomy buntu. Dotąd wzorowo zdyscyplinowani Chińczycy mieli dość lockdownów. Na dodatek za sprawą obostrzeń sanitarnych coraz większe perturbacje groziły gospodarce Państw Środka. Miesiąc po XX Zjeździe prezydent Xi uznał swą porażkę w zmaganiach z epidemią i de facto zgodził się na cichą kapitulację. Restrykcje sanitarne zaczęto zawieszać, masowe testowanie obywateli dobiegło końca i epidemia rozlała się po cały kraj. Jaka jest obecnie liczba chorych i zmarłych nie wiadomo, bo komunistyczne władze wręcz otwarcie fałszują statystyki. Szczątkową wiedzę można czerpać z nielicznych filmów przenikających do Internetu, ukazujących przepełnione szpitale oraz domy pogrzebowe. Tak oto chińskie społeczeństwo będzie musiało przejść wszystko to, czego ludzie w Europie i na innych kontynentach doświadczyli wcześniej. A na dokładkę wymęczono je restrykcjami niespotykanymi nigdzie indziej. Jednocześnie chińską gospodarkę, po wstrząsach związanych z lockdownami czekają teraz zawirowania, jakie niesie ze sobą kumulacja zachorowań.

Ta opowieść byłaby jeszcze ciekawsza, gdyby pojawiły się wiarygodne dane, co do wskaźnika śmiertelności w Chinach na milion mieszkańców. Wówczas łatwiej byłoby ocenić, na ile Pekinowi opłacił się olbrzymi wysiłek włożony w trzy lata zmagania ze epidemią. Niestety, rzetelne oszacowanie kosztów:

społecznych, ekonomicznych i politycznych „zero COVID” nie jest możliwe. Acz można mieć uzasadnione podejrzenia, iż cała strategia przyniosła o wiele więcej strat niż zysków, o czym najlepiej świadczy jej nagłe porzucenie.

Chiny same na siebie zastawiły pułapkę

Pułapka, jaką same na siebie zastawiły [Chiny](#), nosiła wszelkie znamiona racjonalności. Ich władze w sposób wzorcowy wcielały w życie to, jak walczyć z epidemią chcieli wirusolodzy i epidemiolodzy. Dysponując zaś aparatem totalitarnego państwa zrobiły to perfekcyjnie, zmuszając całe społeczeństwo do ślepego wypełniania naukowych zaleceń. Nie utrudniało tego istnienie jakichkolwiek „bezpieczników”, takich jak: wybierany w demokratycznych wyborach parlament, niezależne sądy, media wolne od cenzury, wreszcie zróżnicowana opinia publiczna. W Europie dzięki owym „bezpiecznikom” rządzący wcześniej lub później musieli zacząć brać pod uwagę rosnące z powodu obostrzeń niezadowolenie społeczne oraz wsłuchiwać się w głosy przedstawicieli innych dziedzin wiedzy naukowej.

Na przebieg epidemii wpływ miał bowiem nie tylko sam **koronawirus** oraz dekretowane przez rządy zakazy, ale też zachowywanie się zbiorowości. Już po kilku miesiącach mocniej niż strach przez chorobą poczynaniami ludzi rządziły czynniki: socjologiczne, psychologiczne i ekonomiczne. W końcu rządy musiały łagodzić restrykcje, żeby unikać otwartego buntu. Nota bene w momentach, gdy frustracja społeczna sięgała zenitu i tłumy wychodziły na ulice, koronawirus mógł się szerzyć o wiele swobodniej, niż gdyby nie wprowadzano generującego bunt lockdownu.

Dzięki wspomnianym „bezpiecznikom” i różnorodnym dziedzinom wiedzy udawało się jakoś korygować najbardziej szkodliwe poczynania rządów, zafiksowanych przede wszystkim na tym, by za wszelką cenę ograniczać rozprzestrzenianie się patogenu.

Tak oto po przechorowaniu i masowych szczepieniach od roku w Europie mamy już za sobą wszystko to, co najgorsze w związku z epidemią. Natomiast Chińczycy będą musieli ją dopiero przejść.

Niestety w naszych czasach królują bardzo wąskie specjalizacje. Przyjęto bowiem za pewnik, że łączenie w jedno jak największej liczby dziedzin naukowych było możliwe w czasach renesansu. Leonardo da Vinci potrafił ogarniać całość, bo zasób ówczesnej wiedzy nie przytłaczał swym ogromem. Dziś żaden człowiek nie ma szansy na osiągnięcie podobnej uniwersalności. Rządzący idą zatem na łatwiznę i podejmując decyzje, biorą pod uwagę wąskie wycinki wiedzy. Najlepiej te, które z różnych politycznych względów najbardziej im pasują.

Polityka klimatyczna UE

Tak działa [polityka](#) unijna w odniesieniu do **globalnego ocieplenia**. **Statystyki i badania klimatologów** pokazują, iż nabrało ono tempa. Wiedza na czym polega efekt cieplarniany jasno wskazuje, iż odpowiada za nie rosnące w atmosferze ziemskiej stężenie dwutlenku węgla oraz metanu. Najprostszą odpowiedzią na zagrożenie jest gwałtowna redukcja emisji obu gazów cieplarnianych, za sprawą przebudowania funkcjonowania całego społeczeństwa. Takie rozwiązanie prezentuje się równie prosto i przekonująco jak chińskie „zero COVID”. Czyli wszyscy spędzą w zamknięciu tyle, ile będzie trzeba, każdy dostanie konieczną liczbę szczepień, a gdy koronawirus znajdzie się wreszcie pod kontrolą rządu i wirusologów, wyjdą na wolność, by żyć długo, zdrowo oraz szczęśliwie. Przy okazji świadcząc o potęgze Państwa Środka. Jak się ma realne życie do teorii opartej na wąskiej dziedzinie wiedzy właśnie widzimy.

Teoria transformacji społeczno-energetycznej Unii Europejskiej wygląda jeszcze piękniej. Społeczeństwa krajów członkowskich będą musiały ograniczyć swe potrzeby, ponosić koszty drogiej energii, zredukować liczbę podróży, jeść [mięso](#) od święta lub w ogóle, a przede wszystkim zacisnąć pasa. Dzięki temu w dwie

dekady zniknie wszystko, co emituje dwutlenek węgla (oraz metan, jeśli szczęście dopisz), a Stary Kontynent będą mógł się cieszyć energią z OZE, ekologicznego wodoru i ewentualnie reaktorów jądrowych (jeśli uda się okiełznać niemieckie fobie na ich tle).

To uniezależnienie się od paliw kopalnych wzmocni pozycję Unii w świecie. Zaś „cła węglowe” nakładane na te towary spoza UE, przy których wytworzeniu nastąpiła emisja CO₂, nakłonią producentów z: USA, Chiny i Indii do naśladowania polityki klimatycznej Unii. Inaczej zostaną odcięci od europejskiego rynku zbytu. Po czym w połowie stulecia globalne ocieplenie się zatrzyma, a mieszkańcy Europy za sprawą przebudowania społeczeństw, żyć będą długo, zdrowo oraz szczęśliwie.

Tyle teorii powstałej w Brukseli z połączenia zaleceń klimatologów z mocarstwowymi ambicjami i tamtejszych urzędników. Bo to oni opracowywali plany kolejnych kroków w stronę redukcji emisji gazów cieplarnianych i przebudowy energetycznej Starego Kontynentu aż po **Fit For 55**. Po czym akceptowała je Rada Europejska. Owe plany stworzono bez baczenia na ogromne zagrożenia, widoczne jeśli spojrzeć na całą rzecz przez pryzmat: ekonomii, socjologii, psychologii i wielu innych dziedzin wiedzy, aż po realne możliwości technologiczne. Takie spojrzenia generuje bowiem mnóstwo pytań. Każde z nich można zacząć od słów – „a co jeśli”. Przejdźmy zatem do małej wyliczanki.

A co, jeśli...

A co, jeśli droga energia sprawi, że cały przemysł masowo wyniesie się poza granice UE i pauperyzacja społeczeństw gwałtownie przyspieszy, przynosząc wybuch wielkich buntów i niepokojów (płonące samochody i galerie handlowe emitują sporo CO₂). A co jeśli na cła węglowe **USA i Chiny** odpowiedzą czymś, co kiedyś nazywano „cłami bojowymi” i będą nimi tak długo tłuc w kluczowe produkty z Europy, aż Stary Kontynent stanie przed

wyborem – głęboki kryzys ekonomiczny lub kapitulacja.

A co, jeśli nie uda się zbudować wielkich magazynów energii i ta uzyskana z **OZE** nie będzie w stanie pokrywać zapotrzebowania na prąd Starego Kontynentu. A co jeśli ekologiczny wodór nie spełni pokładanych w nim nadziei, bo jest to wyjątkowo trudny w magazynowaniu i przesyłaniu pierwiastek. A co, jeśli pozbawieni możliwości kupna nowych aut (te elektryczne są dziś przeciętnie dwa razy droższe niż z silnikiem spalinowym), podróżowania, perspektywy na tanie mieszkanie, lepsze życie, masowo biedniejący mieszkańcy krajów UE zaczną zmieniać preferencje wyborcze. Aż postanowią głosować na tych, którzy – jak niegdyś **Mussolini** czy **Hitler** – obiecują im obalenie starych porządków.

Takie pytania można mnożyć w nieskończoność. Jednak niewiele obchodzi one członków Komisji Europejskiej czy brukselskich urzędników, bo przecież to nie wyborcy decydują o ich karierach i dochodach. Również przywódcy kluczowych krajów UE (a zwłaszcza Niemiec) zdają się na nie impregnowani i są wciąż gotowi trzymać się obecnej strategii na przekór zdrowemu rozsądkowi.

Na szczęście w krajach UE nadal jest dość lokalnych „bezpieczników”, które podobnie jak w czasach pandemii zaczną wymuszać korekty. Zapewne znów doświadczymy schematu sprowadzającego się do próby wymuszania zmian na siłę, wielkiej nagonki na ostrzegających przed popełnianymi błędami, następnie tężenia oporu niezależnych instytucji i społeczeństw. Aż po moment, gdy rządzący zgodzą się korygować plany tak, by choć trochę przystawały do skomplikowanej rzeczywistości. Tyle tylko, że z „zero COVID” można się wycofać po cichu, po czym uodpornione na wirus społeczeństwo wraca do normalnego życia. Natomiast w przypadku polityki klimatycznej taki luksus może okazać się niemożliwy.

Przed takim niebezpieczeństwem ostrzegają łatwe do dostrzeżenia zależności. Wedle danych Eurostatu w 2019 r.

kraje UE odpowiadały za 9 proc. światowej emisji CO₂, China za 27 proc., Rosja 12 proc., USA 8 proc.

Pomimo olbrzymich wysiłków Unii rok temu w skali świata wyemitowano o 6 proc. więcej dwutlenku węgla. Jednocześnie klimatolodzy właściwie nie dają już żadnych nadziei na zahamowanie globalnego ocieplenia. **Cudu nie będzie.** Ono trwa i przyniesie ogromne zmiany, włącznie z wojnami, wielkimi migracjami mieszkańców biednych krajów i pogodowymi anomaliami. Po zburzeniu stanu równowagi (a to już nastąpiło) gigantyczne przemiany są nieuniknione.

Unia niczym żaglowiec wpływający w sztorm

Tymczasem za sprawą swej polityki klimatycznej kraje Unii wejdą w nie niczym żaglowiec wpływający w sztorm, na którym kapitan się upił, żagli nie zabezpieczono, a załódze kazano zająć się szorowaniem pokładu. Żegnająca się z własnym przemysłem Europa, wstrząsana konfliktami społecznymi i politycznymi, nasilającymi się z powodu ubożenia jej obywateli, będzie coraz mniej zdolna do stawienia czoła niebezpieczeństwom. Zupełnie odwrotnie niż USA, czy Chiny, gdzie już wyraźnie na pierwszy miejscu stawia się przygotowania do sztormu, a dopiero potem redukcja emisji gazów cieplarnianych. I raczej nie będzie pocieszeniem dla mieszkańców Starego Kontynentu, iż **idą na dno** w imię dobra całej ludzkości.

[Źródło](#)

„Słowicze dźwięki w męczyzny głosie...”



Wygląda na to, że wojna hybrydowa, jaką Niemcy od początku 2016 roku prowadzą przeciwko Polsce, w ostatnim czasie doznała eskalacji. Już nie wystarczyło zablokowanie Funduszu Odbudowy, ale za pośrednictwem niemieckich owczarków, jacy obsadzili instytucje europejskie, Niemcy doprowadziły do zablokowania środków z tzw. funduszy spójności, które, w kwocie 76 miliardów euro, zostały dla Polski preliminowane w budżecie Unii Europejskiej na lata 2021-2027. Pretekstem jest oczywiście brak praworządności, to znaczy brak zgody sędziów zwerbowanych w charakterze konfidentów jeszcze przez Wojskowe Służby Informacyjne, albo przez ABW w ramach operacji „Temida”, albo sędziów politycznie sympatyzujących z Volksdeutsche Partei z Donaldem Tuskiem na czele, na „nową” Krajową Radę Sądownictwa”, poprzez którą rząd „dobrej zmiany” chciałby przejść na ręczne sterowanie sądownictwem. Taka potrzeba pojawiła się w związku z tym, że kiedy przestała istnieć PZPR, sędziowie wyemancypowali się z jakiegokolwiek zależności od jakiegokolwiek władzy państwowej, co im się bardzo spodobало, bo stwarzało nieograniczone możliwości dokazywania i spokojnego korumpowania się. Ale nie chodzi tu o to, by rozstrząsać problemy niezawisłych sędziów, czy proponować jakieś wyjście z sytuacji, bo to jest jedna sprawa, a praworządność, jest tylko pretekstem do szantażowania Polski i gdyby, wskutek na przykład ustępliwości rządu, go zabrakło, to znalazłby się jakiś inny. Nawet już się znalazł w postaci tzw. Karty Praw Podstawowych. Została ona przyjęta na szczycie

Rady Europejskiej w Nicei w roku 2000. Nazwa tego dokumentu jest myląca, bo w istocie jest to manifest komunistyczny, w którym promotorzy komunistycznej rewolucji poupychali wszystkie wynalazki zmierzające do destrukcji organicznych więzi społecznych, by – zgodnie z „Manifestem z Ventotene” unijnego świątka, włoskiego komunisty Spinellego, doprowadzić do likwidacji historycznych narodów europejskich. Bo to właśnie na obecnym etapie, jest celem Unii Europejskiej, którego jej polityczni kierownicy nawet nie starają się specjalnie ukrywać.

Prehistoria

Po dwóch próbach, jakie w XX wieku podjął cesarz Wilhelm II i Adolf Hitler, narzucenia Europie niemieckiego przywództwa siłą, Niemcy, kiedy ich państwo w 1949 roku zostało odtworzone, zrozumiały, że nie tędy droga, że znacznie bezpieczniejsze i tańsze jest narzucenie Europie swego przywództwa metodą pokojowego jednoczenia. Rozpoczęło się ono niewinnie i w postaci Wspólnego Rynku nawet przyniosło Europie potężny impuls rozwojowy. Co więcej – stworzyło wrażenie, że we wspólnej Europie Niemcy się rozpuszczą i nie będą stanowiły żadnego zagrożenia. Jednak nie z Niemcami tanie numery! Jeśli nie kijem, to pałką – ale cel cały czas jest ten sam; poddanie Europy niemieckiemu przywództwu. Najtwardszym jądrem metody pokojowego jednoczenia było korumpowanie biurokratycznych gangów, pod pozorem „demokracji” okupujących europejskie narody. To się znakomicie udało i w dodatku nawet za stosunkowo niewielkie pieniądze, bo nie przekraczające 2 procent europejskiego Produktu Krajowego Brutto. Toteż po upadku porządku jałtańskiego, na przełomie lat 80-tych i 90-tych, kiedy Niemcy odzyskały swobodę ruchów w Europie, nawróciły się na linię kanclerza Bismarcka, według której Niemcy zarządzają Europą w porozumieniu z Rosją. Zewnętrznym wyrazem tego nawrócenia jest strategiczne partnerstwo niemiecko-rosyjskie, obecnie poddawane przez Stany Zjednoczone próbom niszczącym w związku z wojną na Ukrainie, jaką USA na

czele państw NATO prowadzą z Rosją do ostatniego Ukraińca. Żeby jednak nie płoszyć ptaszków zawczasu, początkowo Wspólnoty Europejskie funkcjonowały w formule konfederacji, czyli związku państw, nazywanym przez entuzjastów „*Europą Ojczyzn*”.

Traktat z Maastricht

Skoro jednak Niemcy nawróciły się na linię polityczną kanclerza Bismarcka, to dzieje Europy weszły w następny etap. Zwiastunem tej zmiany było przyjęcie traktatu z Maastricht, który wszedł w życie w roku 1993. Zmieniał on radykalnie formułę funkcjonowania Wspólnot Europejskich. Odszedł od formuły konfederacji, czyli związku państw, ku formule federacji, czyli państwa związkowego. Od tego momentu trwają przygotowania do narzucenia Wspólnotom Europejskim politycznej czapy w postaci Unii. W ramach przygotowań do budowy europejskiego państwa federalnego pod niemieckim kierownictwem, Niemcy w latach 90-tych wysadziły w powietrze projekt „*Heksagonale*”, inicjując rozbiór Jugosławii, czyli „*Wielkiej Serbii*”, którą zawsze uważały za enklawę rosyjskich wpływów w „*swojej*” części Europy, a potem, już po roku 2000 doprowadzając do rozbioru samej Serbii, poprzez ustanowienie Kosowa zamieszkałego przez „*Kosowerów*”, co wymagało już bombardowań Serbii przez bombowce NATO, żeby w ten sposób ją zmłotować. Ten eksperyment potwierdził zdolność Niemiec do przewodzenia Europie, wobec czego nie było na co czekać, tylko doprowadzić do przekształcenia Wspólnot Europejskich w Unię Europejską, czyli odrębny podmiot prawa międzynarodowego.

Traktat lizboński

Początkowo Unia Europejska miała być utworzona na podstawie tzw. traktatu konstytucyjnego, ale nie wszedł on w życie z powodu sprzeciwu Holandii, wobec czego z dwóch traktatów sklecono jeden w postaci poprawek do każdego z nich, co w znacznym stopniu zniechęcało do uważnego przeczytania go. Do obiegu politycznego twór ten wszedł pod nazwą „*traktatu*

lizbońskiego" i rozpoczęły się przygotowania do jego przyjęcia. Polska, to znaczy – premier Donald Tusk, w towarzystwie Księcia-Małżonka, który wtedy akurat piastował stanowisko ministra spraw zgranicznych w rządzie obozu zdrady i zaprzaństwa oraz w obecności prezydenta Lecha Kaczyńskiego, podpisała ten traktat akurat w rocznicę wprowadzenia w Polsce stanu wojennego, 13 grudnia 2007 roku. Jak potem premier szczerze przyznał, podpisał go bez czytania – bo niby po co Donald Tusk miałby go czytać, może jeszcze ze zrozumieniem, skoro starsi i mądrzejsi już go napisali i przeczytali? Toteż 11 kwietnia 2008 roku Sejm głosami posłów należących do obozu zdrady i zaprzaństwa oraz głosami obozu płomiennych dzierżawców monopolu na patriotyzm, uchwalił ustawę upoważniającą prezydenta Kaczyńskiego do ratyfikowania tego traktatu, co nastąpiło 10 października 2009 roku. Traktat lizboński wszedł w życie 1 grudnia 2009 roku i od tego dnia zaistniała Unia Europejska, jako odrębny od państw członkowskich podmiot prawa międzynarodowego. Warto zwrócić uwagę, że środowiska stręczące Polakom ratyfikację traktatu lizbońskiego podkreślały z naciskiem, że Unia nie jest państwem. Było to z jednej strony dziwne, bo Unia Europejska ma wszystkie atrybuty państwa. Ma terytorium – o czym każdy może przekonać się w Terespolu, który nie tylko leży nad wschodnią granicą Polski, ale również – nad wschodnią granicą Unii Europejskiej. Ma „ludność”, bo każdy obywatel każdego państwa członkowskiego, jest jednocześnie obywatelem Unii Europejskiej. Do tej pory obywatelstwo było związane z państwem, a nie „organizacją międzynarodową”, bo nie można być np. „obywatelem UNESCO”, chociaż pewien strażnik w gmachu ONZ w Nowym Jorku myślał, że „to mały, ale bardzo dzielny naród”. Ma wreszcie władze w postaci Rady Europejskiej jako władzy ustawodawczej, Komisji Europejskiej, jako władzy wykonawczej i Parlamentu Europejskiego, jako demokratycznego kwiatka do tego kożucha. Ma też Trybunał, bank centralny, walutę, policję w postaci Europolu, prokuraturę w postaci Eurojustu, słowem prawie wszystko, co mają inne państwa, z wyjątkiem armii, ale to tylko kwestia czasu. Z drugiej strony uporczywe

utrzymywanie, że Unia państwem nie jest było oczywiste w sytuacji, że gdyby „była”, to trzeba by odpowiedzieć na kłopotliwe pytanie, jaki w takim razie jest prawnomiędzynarodowy status państw członkowskich: czy nadal są niepodległe, czy też mają tylko autonomię. Są one bowiem częściami składowymi państwa pod nazwą „Unia Europejska”, a dotychczas żadna część składowa jakiegokolwiek państwa nie była niepodległa. Przeciwnie – podlegała władzom tego państwa, właśnie jako jego część składowa.

Odrębną sprawą jest kwestia suwerenności. Traktat lizboński ustanawia „zasadę przekazania”, głoszącą, że Unia Europejska ma tylko takie uprawnienia, jakie przekażą jej państwa członkowskie. Oznaczałoby to, że polityczna suwerenność w Unii jest podzielona. Władze UE są suwerenne w zakresie kompetencji przekazanych, bo to one decydują, jaki zrobić z nich użytek, ale państwa członkowskie całkiem suwerenności nie tracą, bo to one decydują, które kompetencje przekazać, a których nie. Ale traktat lizboński ustanawia też „zasadę lojalnej współpracy”, która głosi, że państwo członkowskie MUSI powstrzymać się przez KAŻDYM działaniem, które MOGŁOBY zagrozić urzeczywistnieniu celów Unii Europejskiej. Widzimy, że zasada ta unieważnia „zasadę przekazania”, bo obowiązek powstrzymania się nie zależy wcale od zakresu kompetencji przekazanych, tylko od tego, czy jakaś sprawa została uznana za „cel Unii Europejskiej”. Ponieważ chodzi o cele Unii, a nie żadnego z państw członkowskich, to jest oczywiste, że wyłączną właściwość określania, co jest „celem Unii”, a co nie i przed czym państwo członkowskie ma się powstrzymać, mają władze Unii Europejskiej. W ten sposób traktat lizboński wypłukuje z państw członkowskich suwerenność, stwarzając zarazem pozory legalności dla przekształcania Unii Europejskiej w państwo federalne pod kierownictwem Niemiec. Dlaczego pod kierownictwem Niemiec? Dlatego, że przed ratyfikowaniem tego traktatu przez Niemcy, został on zaskarżony do Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe jako sprzeczny z konstytucją RFN. Trybunał unał, że sprzeczny nie jest, ale uzależnił zgodę na

jego ratyfikację przez prezydenta od uprzedniego przyjęcia ustawy, na podstawie której żadne prawo nie może wejść w życie na terenie RFN bez zgody obydwu izb parlamentu: Bundestagu i Bundesratu. I taka ustawa została przyjęta. Oznacza to, że Niemcy mogą forsować na terenie Unii jakieś rozwiązanie prawne, które wejdzie w życie wszędzie, z wyjątkiem Niemiec. Oznacza to, że tylko Niemcy zastrzegły sobie w Unii suwerenność.

Polska pod kuratelą

17 września 2009 roku amerykański prezydent Obama dokonał „resetu” w stosunkach amerykańsko-rosyjskich, polegającego na wycofaniu USA z aktywnej polityki w Europie Środkowej. Próżnię polityczną wypełnili strategiczni partnerzy, tj. Niemcy i Rosja – każdy w „swojej” części Europy. Polska leży w strefie „niemieckiej” więc siłą rzeczy przeszła pod kuratelę Niemiec, z czego zdawali sobie sprawę nasi Umiłowani Przywódcy – a świadczy o tym choćby „hołd pruski”, jaki w Berlinie złożył Książę-Małżonek. I dopóki Polska była pod kuratelą niemiecką, to rzeczą oczywistą było, że na pozycji lidera sceny politycznej naszego bantustanu jest Volksdeutsche Partei Donalda Tuska tym bardziej, że 20 listopada 2010 roku, na szczycie NATO w Lizbonie proklamowane zostało strategiczne partnerstwo NATO-Rosja, którego najtwardszym jądrem było strategiczne partnerstwo, niemiecko-rosyjskie, a jego kamieniem węgielnym – podział Europy na strefę „niemiecką” i strefę „rosyjską”. Ale w roku 2013 prezydent Obama wysadził to strategiczne partnerstwo w powietrze, wykładając 5 mld dolarów na zorganizowanie na Ukrainie „Majdanu”, którego celem było wyłuskanie tego kraju spod kurateli rosyjskiej, by trafił pod amerykańską – podobnie jak Polska. Zmiana kuratora wymagała dla przyzwoitości zmiany lidera sceny politycznej naszego bantustanu, co nastąpiło nie w następstwie strzelaniny – jak na Ukrainie – tylko „afery podsłuchowej”. W rezultacie wybory prezydenckie wygrał Andrzej Duda, a parlamentarne – PiS – który jesienią 2015 roku utworzył rząd z panią Beatą Szydło na

czele. Pani Szydło jeszcze nie zdążyła nic zrobić, ani nawet – niczego powiedzieć – a już w początkach stycznia 2016 roku Komisja Europejska, na której czele stały dwa niemieckie owczarki: Jan Klaudiusz Juncker i Franciszek Timmermans, wszczęła wobec Polski bezprecedensową procedurę „*badania stanu demokracji*”. Oczywiście nie chodzi o żadną demokrację, ani o żadną praworządność, ani o zapewnienie dobrostanu dla sodomczyków – czego domaga się Karta Praw Podstawowych – tylko o powrót na pozycję lidera tubylczej sceny politycznej Volksdeutsche Partei, a jeśli to by się nie udało, to przynajmniej o zmuszenie politycznej ekspozytury Stronnictwa Amerykańsko-Żydowskiego do posłuszeństwa wobec Berlina. Nasz obecny kurator, czyli USA, na razie trzyma PiS przy władzy, ale najwyraźniej nie za wszelką cenę. Kiedy bowiem Naczelnik Państwa poskarżył się ambasadorowi Brzezińskiemu, że Niemcy nie wykazują należytego zrozumienia dla proklamowanego przezeń programu „*dążenia*” do reparacji wojennych, ten udzielił odpowiedzi wprawdzie długiej, ale kompletnie pozbawionej treści, słowem – wymijającej. Myślę, że z kilku powodów. USA wiedzą, że PiS i tak robi dla nich wszystko, co każą, więc po cóż miałyby wdawać się w jakieś spory z Niemcami, skoro jak nie dziś, to jutro może ich potrzebować?

[Stanisław Michalkiewicz](#)

Co wiecie o Wielkim Resecie?



Kolejny Wielki Reset kierowany jest tym razem nie z Moskwy (międzynarodowy Komintern), ale z Davos. To następna wielka rewolucja, która tym razem ma skutecznie zmienić świat i wreszcie jest wdrażana zgodnie z planem ojców założycieli (Marks, Engels), czyli w krajach wysoko uprzemysłowionych. Konstytucją Wielkiego Resetu dalej pozostaje londyński **"Manifest Komunistyczny"** z 1848 r. Właśnie obserwujemy kolejny etap jej wdrażania przy pomocy kreowanych kryzysów (wojny, pandemie) i ofiarowanych nam prób ratowania pokoju, a ostatnio nawet naszego zdrowia. Jedno jest pewne, że każda taka próba wychodzenia z kolejnych kryzysów przesuwą wskazówkę zegara ograniczającego nasze obywatelskie prawa i wolności w kierunku wartości 0, jednocześnie zbliżając nas do projektowanej epoki cyfrowego niewolnictwa. Powstaje podejrzenie, że kilka lat temu globalistyczne elity świata zawarły pokój, tymczasowo rezygnując z poważnej wojny i używając siatki finansowych powiązań z lokalnymi rządami narodowymi zdecydowały się na użycie broni biologicznej przeciwko własnym obywatelom. Celem jak zwykle jest Wielki Reset nawet przy użyciu bezpośrednich spersonalizowanych bombardowań...

Żyjemy w czasach w których zauważamy, że światowi liderzy popełniają błędy w swoich kalkulacjach. Choć czasem wydaje się, że tylko oglądamy platońskie cienie w medialnej jaskini, a cel tych programowanych ponad nimi błędów jest całkiem inny. Można przyjąć, że prawdziwym celem I wojny światowej było zniszczenie chrześcijańskich monarchii i podzielenie świata na narodowe części. Jednocześnie towarzyszył jej projekt Wielkiego Resetu z rewolucją mającą ogarnąć całą Europę, projekt zatrzymany pod Warszawą w 1920 r. Okazało się dalej, że Stalin zdradził światową rewolucję, pech chciał, że rewolucja marksistowska (a właściwie leninowska), której celem było wyzwolenie z kapitalistycznego wyzysku klasy robotniczej, rozegrała się w społeczeństwie rolniczym. II wojna światowa pozwoliła komunizmowi objąć większe obszary Europy i Azji, jednocześnie zamieniając zachodniego hegemonia (z Anglii na USA).

Od czasów Nixona/Kissingera obawiając się zjednoczenia wielkiego bloku komunistycznego (Rosja, Chiny), USA wspierały kapitałowo i technologicznie Chiny, aby oddzielić je od Rosji, wówczas głównego pretendenta do roli supermocarstwa (w sferze militarnej, nie ekonomicznej). Zachód oczekiwał, że bogacący się Chińczycy porzucą komunizm i dołączą do klubu zachodnich elit. Przez ostatnie ćwierć wieku USA kompletnie zdominowały świat, pozostając na placu boju jako hegemon. Jednak okazało się, że gwałtownie rosnące w potęgę Chiny, które są polem doświadczalnym globalistów w zakresie absolutnej kontroli elit nad społeczeństwem, również zdradziły ideały światowej rewolucji przyjmując strukturę narodowego państwa faszystowskiego z domieszką leninizmu.

Chiny w strukturze władzy przypominają sowiecką Rosję z jej politbiurem i silną władzą sekretarza/prezydenta, jednak z NEP-owską ekonomiczną wolnością i dużą rolą wielkich koncernów kontrolowanych przez państwo, co jest charakterystyczne dla państw faszystowskich. Obecnie Chiny są największym światowym producentem dóbr głównie na zachodnich technologiach i największym eksporterem, niestety w tym i produktu Wielkiego Resetu jakim stał się COVID.

W USA ośrodkiem centralnym jest grupa trzymająca władzę (Deep State), a formalnie na jej czele stoi medialnie wybieralny prezydent, nieco kontrolowany przez Kongres wybierany przez lobbystów ponadnarodowych korporacji i kontrolowane przez nich media. Wielką rolę odgrywają tu interesy przemysłu zbrojeniowego (Pentagon) i wpływowe środowisko neoconów (wcześniejszych trockistów). Wojna na Ukrainie ma też na celu odepchnięcie realizacji niebezpiecznego scenariusza wypchnięcia USA z Europy przez przyszły sojusz Mitteleuropy z Rosją. Przypomnijmy, że USA już dwukrotnie interweniowała w Europie, aby zmienić projektowany przez innych porządek rzeczy.

Dziś to Chiny stanowią największe zagrożenie dla światowej pozycji USA, które widzą konieczność odwrócenia kalki Nixona,

czyli prewencyjne oddzielenie Rosji od Chin. Putin choć uczestniczy w tej międzynarodowej grze kierując się własnymi imperialnymi interesami, ma być wciągnięty w walec wyniszczania, aby go testować i osłabić, a następnie możliwie ośwoić. W oczach Waszyngtonu osłabienie Rosji (jako potencjalnej głębi strategicznej Chin) jest konieczne na wypadek konfliktu na Dalekim Wschodzie. Wydawałoby się, że to ryzykowna gra, jednak jej uczestnicy wiedzą, że prawdziwym strategicznym przeciwnikiem Rosji są sąsiednie rosnące w siłę Chiny (historyczny spór terytorialny). Dlatego jesteśmy świadkami proxy war na Ukrainie.

Kierownictwo Państwa Polskiego wierzy, że powinno wykorzystać ten historyczny moment i hojnie i wielorako wspomagając zaatakowaną Ukrainę w koncercie głównie z USA i Wielką Brytanią, odsunąć wizję historycznego imperialnego zagrożenia ze strony Rosji. Kalkulacja polskich elit o patriotycznym odcieniu opiera się również na zagrożeniu płynącym od strony odgrzewanych niemieckich apetytów stworzenia Mitteleuropy, w którym miałyby roztopić się Polska jako zaplecze dla niemieckiego mocarstwa. Takie mocarstwo Niemcy projektowali opierając się na rosyjskim zrozumieniu i korzystnych dostawach rosyjskiego gazu i ropy, oraz otwarciu rosyjskiego rynku bogactw naturalnych do wspólnej eksploracji. Z powyższego wynikałoby, że Polska znalazłaby się w niemieckiej, a nie rosyjskiej strefie wpływów.

Pomyłki w założeniach strategicznych zdarzają się często. Wojnę łatwo rozpocząć, ale trudniej skończyć, bo zawsze ster przejmuje Bóg wojny, który niejednego figla w historii spłatał krzyżując plany strategom. Putin był pewien, że wcześniej zabezpieczył kierunek Unii Europejskiej (kontrakty gaz, ropa, NS I i II). Następnie korzystając ze swoich "ukraińskich" doświadczeń z 2014 r. siłą 180,000 żołnierzy uderzył z 3 stron na Ukrainę zamierzając utracić jej zachodnie sympatie w kierunku wejścia do UE i NATO. Sztabowcy Putina zapomnieli jednak o tym, że przez ostatnich 8 lat ukraińskie siły zbrojne

były intensywnie szkolone i wyposażane przez USA, WB i Polskę. Putin też nie docenił stopnia korupcji i niekompetencji we własnych szeregach. W konsekwencji tego musiał wycofać się z kierunku kijowskiego i ostatnio z Chersonia, ale dalej jest w grze...

Wydaje się, że monitorujemy spóźnioną wojnę domową w obrębie byłego sowieckiego imperium. Jednak nie wiadomo ile jeszcze miliardów będzie trafiać do dziurawego ukraińskiego worka, świat łatwo nudzi się powtarzaną ludzką tragedią. Kto wie jak wojna się zakończy, Rosja posiada ogromną przewagę w głębi strategicznej, ludnościowej i zasobach. Poza tym ma też w UE zastępy niecierpliwych sojuszników, oczekujących "szczęśliwego" i w miarę szybkiego zakończenia wojny.

Cóż, nie przedłużając chciałbym przypomnieć, że najmniejszą i najczęściej prześladowaną na świecie mniejszością jest jednostka, której prawa i wolności depcze właśnie postępową globalistyczna komuna kiedyś z Moskwy, dziś z Davos.

[Jacek Matysiak](#)

Faszyzm w Unii Europejskiej



"Wij zijn de zwarte soldaten, want wij strijden voor vrijheid en voor recht!"

(Jesteśmy czarnymi żołnierzami, bo walczymy o wolność i o

sprawiedliwość)

Tak brzmiała marsz NSB, holenderskiej partii narodowo-socjalistycznej (1932-1945). Oczywiście czerń odnosiła się do koloru ich mundurów, a nie do koloru ich skóry.

Jakimś dziwnym trafem, ta stara piosenka, podobnie jak ludzie, którzy ją śpiewali i idee, które za nią stały, odzyskała w Europie drugie życie. Przyglądając się bliżej UE, rzuca się w oczy, że mundury policyjne na ogół są również czarne, może nie zawsze te noszone przez funkcjonariuszy na zwykłej służbie, ale na pewno te, które noszą policjanci z oddziałów prewencji. Policja w pełnym rynsztunku to dosłownie czarni żołnierze. Ubrani w ten sposób, już od ponad dziesięciu lat brutalnie tłumią pokojowe demonstracje. Szczególnie szokująca była brutalność policji, godna państw „Trzeciego Świata”, wobec ruchu Żółtych Kamizelek we Francji.

W tym samym czasie, również inny rodzaj czarnych żołnierzy opanował ulice starej Europy. Nie są ubrani w czarne mundury, ale mają czarną skórę. Nie działają w szyku zwartym i nie są dowodzeni, ale ci czarni żołnierze również prowadzą wojnę przeciwko spokojnym obywatelom krajów UE. Upatrzyli sobie szczególnie kobiety, molestując je, gwałcąc, zabijając, zastraszając ich mężów i rodziny. Ci czarni żołnierze działają niejako za linią frontu, za policją. Krótko mówiąc, toczy się prawdziwa wojna przeciwko ludności UE.

Najwyższe dowództwo znajduje się w rękach rządów UE. Mimo że w większości krajów UE podział władzy jest zapisany w konstytucji, w praktyce ten podział nie jest już oczywisty. Rządy UE są w stanie wykorzystać kombinację często jawnie nadużywanych działań policji i systemu sądowego (sędziowie również są ubrani na czarno!) do podporządkowania sobie obywateli oraz kontrolowania opinii publicznej i debaty publicznej. Media, czyli tzw. wolna prasa, zarówno prywatna, jak i publiczna (z rzekomymi gwarancjami jej bezstronności, jak w Niemczech), również odgrywa kluczową rolę w

kontrołowaniu opinii publicznej. Mówiąc w kategoriach wojskowych, rządy UE cieszą się „dominacją nad całym spektrum” domeny publicznej.

W tych warunkach nie było trudno zakazać rosyjskim mediom dostępu do UE, już w kilka dni po rozpoczęciu rosyjskiej specjalnej operacji wojskowej na Ukrainie 24 lutego 2022 roku. Nieliczne głosy podnoszone w proteście przeciwko tej masowej i bezprecedensowej cenzurze, zostały z łatwością uciszone i stłumione. Nie jest chyba przypadkiem, że unijną cenzurę zadekretował Niemiec, a konkretnie Niemka, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Niemcy to naród europejski, który dotknięty jest ciągłą cenzurą i ścisłą kontrolą mediów od czasu, gdy Hitler zlikwidował wolność prasy w 1933 roku, Niemcy żyją w warunkach kontroli medialnej i ograniczania wypowiedzi. Wolność słowa jest w Niemczech zakazana od prawie stu lat! Dziś, polityka zastosowana po raz pierwszy przez nazistów stała się normą i standardem w całej UE.

Zasadniczym narzędziem zarządzania i kontrolowania debaty publicznej jest ośmieszanie i wrabianie opozycji. Tym sposobem, każdy, kto nie wpisuje się w oficjalną narrację, zostaje nazwany „nienawistnikiem”, „negacjonistą” lub „teoretykiem spiskowym”. Już tylko z tego powodu, sugeruje się, że tacy ludzie nie nadają się do udziału w debacie publicznej. Jeśli mimo to, nadal to robią, używa się ostrzejszej broni. W takim przypadku stwierdza się, że sprawca ma „niebezpieczne pomysły” lub że jest „potencjalnym terrorystą”. Jako taki musi być załatwiony, na przykład wtrącony do więzienia lub poddany leczeniu psychiatrycznemu. Liczni unijni dziennikarze i inni głoszący niepożądane prawdy, zostali postawieni w stan oskarżenia, wtrąceni do więzienia lub zamknięci na oddziale psychiatrycznym. Jeśli ktoś okaże się szczególnie trudnym przypadkiem, jest eliminowany w drodze wypadku samochodowego, przez jakiegoś „samotnego wilka” lub samobójstwa.

Na szczęście, aż tak brutalne metody raczej rzadko muszą być stosowane. Państwowa cenzura z pomocą policji i sądów kapturowych, załatwia większość takich spraw. Zapobiega temu również utrzymywanie „standardów społecznościowych” w mediach społecznościowych takich jak Facebook, Apple (I-phone), Google, Youtube, Instagram, Amazon (do niedawna także Twitter) i innych platformach, filtrujących zdecydowaną większość „zbrodniomyśli”.

Jednak dla władz UE nie byłoby dobrym rozwiązaniem, gdyby wszyscy obywatele przyłączyli się do marszowego kroku w kierunku faszystowskiego nieba. Bez umiarkowanej, ale kontrolowanej i kierowanej „zbrodniomyśli”, nie byłoby większego pożytku z tych wszystkich czarnych żołnierzy, których szeregi codziennie powiększają się o całe łodzie „azylantów” sprowadzanych na tajne unijne rozkazy. Stara maksyma „dziel i rządź” została odkurzona i kieruje polityką większości rządów UE i Komisji Europejskiej.

Rządy UE stosują sprytną taktykę zwiększania niepokójów społecznych i zastraszania, aby tą drogą promować program całkowitej kontroli nad ludnością. Metoda ta opiera się na kryminalizacji „mowy nienawiści” i potajemnym ułatwianiu wszelkiego rodzaju przestępstw „czarnym”, zagranicznym żołnierzom. W Amsterdamie, 80% przestępstw popełnianych jest przez młodych Marokańczyków. Kiedykolwiek sprawcy są aresztowani, zazwyczaj są szybko wypuszczani bez postawienia zarzutów. Jeśli już dochodzi do postawienia zarzutów i skazania, to kary zazwyczaj są śmiesznie niskie w porównaniu z popełnionym przestępstwem. W takim przypadku, media skrupulatnie przestrzegają instrukcji, aby w swoich relacjach nie podawać pochodzenia ani narodowości sprawców. Są oni zatem opisywani jako „nastolatki”, a nie „młodzi Marokańczycy”. W rezultacie, gdy media mówią o „nastolatkach”, opinia publiczna wie, że są to w rzeczywistości Marokańczycy. Mimo to, jeśli ktoś publicznie odważy się nazwać czarne czarnym, jest natychmiast oskarżany o „zbrodnię nienawiści”. Z pewnością nie

ma lepszego sposobu na podsycanie podziałów społecznych.

Rdzenni Europejczycy czują się zdradzeni, niepewni i sfrustrowani, ale nie wolno im dać upustu swoim uczuciom. W ten sposób można w nieskończoność utrzymywać kontrolowany poziom napięcia, ponieważ w tym samym czasie społeczeństwo jest zmuszane do uległości za pomocą codziennych dawek pornografii strachu: o wojnie nuklearnej, dziurach w warstwie ozonowej, kwaśnych deszczach, zmianach klimatycznych, podnoszeniu się poziomu oceanów, topnieniu czap lodowych, emisji węgla i azotu oraz śmiertelnych pandemiach. W mediach paradują niekończące się rzędy „ekspertów”, którzy wyjaśniają i ilustrują przerażające szczegóły każdego zagrożenia, apelując przy tym o „podążanie za nauką”. Eksperci o przeciwnych poglądach nigdy nie są zapraszani do debaty na temat czających się nad nami niebezpieczeństw, zamiast tego, nazywani są rutynowo „negacjonistami”. Uczestnicząc w tym procesie, rządy i media pomagają zniszczyć ostatnie ślady uczciwości naukowej.

Zawsze jest tylko jedno wyjście, jedno rozwiązanie danego problemu. Jest nim posłuszeństwo wobec rządu i robienie dokładnie tego, co nam każą. Zatem, prawie rok po rozpoczęciu rosyjskiego SMO na Ukrainie, teraz, gdy UE zaangażowała się w odcięcie dostaw energii dla Europy i zniszczenie europejskiej bazy przemysłowej, obywatelom każe się ograniczyć zużycie wody i energii. Wyłącz grzejnik, jeździj mniej samochodem, myj się rzadziej, załóż dodatkowy sweter, kupuj mniej, jedz mniej mięsa i przerzuć się na owady!

W międzyczasie, media, stojące na straży systemu, prawie nie donoszą o prawdziwym niebezpieczeństwie załamania finansowego.

Rządy UE stosują cenzurę na pełną skalę, terroryzują swoich obywateli oddziałami policji przypominającymi SS i imigrantami (często nielegalnymi) o skłonnościach przestępczych, wtrącają dysydentów do więzień, likwidując ich w razie potrzeby, a jednocześnie wspierają reżim na Ukrainie, który otwarcie

gloryfikuje ideologię nazistowską. Należałoby się w tej sytuacji zastanowić, nad niekończącym się i wszechobecnym lamentem na temat tego, jacy rzeczywiście źli byli ci naziści? Opowieści o II wojnie światowej, dyktaturach wojskowych w Ameryce Łacińskiej, okropnościach reżimów komunistycznych i wszelkich innych wrogach dalekich i dawnych, są kamieniem węgielnym ideologii poprawności politycznej.

Kolejnym epitetem, którym rządy UE i ich najbardziej fanatyczni zwolennicy, tacy jak Zieloni, Liberałowie i Socjaldemokraci, lubią obrzucać każdego, kto się z nimi nie zgadza, jest „faszysta”. Brzmi to trochę jak skamielina, pozostałość sprzed wieku, kiedy lewica była atakowana przez umundurowane gangi uliczne, takie jak SA w Niemczech i Fasci di combattimento we Włoszech. Rzeczywiście, można nazwać takich ludzi nazistami lub faszystami, choćby dlatego, że tak sami siebie nazywali. Ale w bardziej obiektywnym sensie, jakie są cechy wyróżniające faszyzm jako system polityczny? Są to: bezwzględny ucisk opozycji, cenzura i kontrola każdego aspektu życia obywateli. UE bardzo ładnie pasuje do tego opisu. Ale najważniejszą cechą jest to, że w faszyzmie zarówno państwo, jak i społeczeństwo podlegają dyktatowi monopolistycznego kapitalizmu, innymi słowy – wielkich korporacji, w tym banków. Tak się też dzieje w UE. Podczas gdy w nazistowskich Niemczech i faszystowskich Włoszech te korporacje nazywały się Krupp, IG Farben, FIAT, Ansaldo i tak dalej, dziś nazywają się Blackrock, Vanguard, Amazon i Microsoft.

Od wielu lat prawodawstwo UE, mające pierwszeństwo przed przepisami uchwalanymi przez parlamenty krajowe, jest pisane i przygotowywane do uchwalenia przez istną armię lobbystów opłacanych przez monopolistyczny kapitał. Tych najemników jest więcej niż urzędników w stolicy UE, Brukseli. Zamiast stawiać temu opór, eurokraci oraz członkowie Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej koncentrują się na zapewnianiu sobie kolejnych podwyżek płac, dając przykład swoim kolegom w państwach członkowskich UE. Można więc stwierdzić, że UE i jej

państwa członkowskie są rządzone nie tylko przez faszystów, ale przez skorumpowanych faszystów. Przynajmniej, przy całym swoim złu i wadach, nazistowskie Niemcy i faszystowskie Włochy miały znacznie niższy poziom korupcji.

Rosyjska SMO na Ukrainie przyczyniła się do tego, że pewne sprawy ujrzały światło dzienne. Faszystowski charakter UE i ogólnie „Zachodu” (w zasadzie imperium USA), staje się coraz bardziej widoczny. Dzieje się tak dlatego, że podstawowe prawdy zwykle wychodzą na jaw podczas kryzysów i wojen.

Jedną z tych prawd jest to, że UE jest faszystowska do szpiku kości.

[Tłum. Sławomir Soja](#)

Czy może być jeszcze gorzej?! Stosunki polsko-węgierskie



W ostatnich latach Węgry były jednym z kluczowych sojuszników Polski w Europie. To nie jest zaskakujące. Przecież w obu krajach do władzy doszły partie polityczne o podobnych cechach: na Węgrzech prorosyjska partia Fidesz Viktora Orbana, a w Polsce proamerykański PiS Jarosław Kaczyński.

Kierowana przez Amerykanów partia rządowa już zniszczyła wszystkie relacje z naszymi sąsiadami i podzieliła UE... Nie

jest tajemnicą, że polscy urzędnicy już od dawna prowadzą korzystną dla Amerykanów antyrosyjską politykę, naciskają na europejskich przywódców w poważnych sprawach, wśród których nałożenie sankcji na Rosję, blokują kluczowe decyzje w ramach UE. Skutkiem tego jest fakt, że obecnie „jesteśmy sługami narodu ukraińskiego”. Nie, to nie żart...To deklaracja rzecznika MSZ Polski!

Sytuacja jest fatalna do tego stopnia, że obecnie rząd wbija sobie ostatnie gwoździe do międzynarodowej politycznej trumny i niszczy stosunki z Budapesztem – ostatnim sojusznikiem Warszawy na arenie międzynarodowej...

Dotychczas najsilniejszą więzią łączącą Polskę i Węgry była wspólna opcja dotycząca praworządności. Trzonem tej relacji była wspólna klauzula dotycząca zarzutów naruszenia praworządności zarówno na Węgrzech, jak i w Polsce. Wspólny front przez lata wydawał się skuteczny, a sojusz obu przywódców wyglądał jak gwarancja, że UE nie uda się ukarać ani Warszawy, ani Budapesztu.

Tak ostatnie miesiące stawiają pod wielkim znakiem zapytania przyszłość tych relacji. Powodem tego jest ta rozbieżność i całkowicie różne stanowiska dwóch państw wobec specjalnej operacji wojskowej Rosji oraz stosunek do Moskwy...

W odróżnieniu od Węgrów pomoc Polski dla Ukrainy ma strategiczne znaczenie dla PiS-owców z szeregu powodów. Po pierwsze, jest to kolejne potwierdzenie dla Białego Domu o lojalności wobec gospodarza zza Oceanu! Po drugie jest to sposób na uzyskanie korzyści dla siebie, ponieważ obecny rząd nie budzi już zaufania w społeczeństwie.

Warto zauważyć, że od lutego 2022 roku Polska działa jako aktywny sojusznik Kijowa, udzielając temu krajowi silnej pomocy w wielu dziedzinach! Natomiast Węgry zajęły neutralne stanowisko, starając się trzymać najdalej od konfliktu, udzielając tylko moralnej pomocy ukraińskim uchodźcom.

Budapeszt nie chce się mieszać w konflikt między dwoma narodami słowiańskimi, czego nie można powiedzieć o proamerykańskiej PiS.

Podobne stanowisko PiS już doprowadziło do tego, że większość krajów uważa Polskę za kraj, który skłonny do podpalenia całego świata.

Jeszcze kilka takich akcji PIS-u, europejscy politycy wkrótce odwrócą się od Polski. Wydaje się jednak, że obecny rząd zajęty jest tylko tym, by zadowolić swojego patrona i przygotować się do nadchodzących wyborów, a nie troszczy się o dobro kraju i miejscowej ludności.

[Jacek Tochman](#)

Europa się przeliczyła



Kryzys energetyczny w krajach zachodnich, wzrost gospodarczy Chin, błędne decyzje Brukseli i świata zachodniego, nasilenie konkurencji gospodarczej między USA a UE, a także relacje między zachodnimi i chińskimi centrami świata. O tych światowych trendach i problemach – rozmowa z Michailem Kowaliowem, doktorem nauk fizycznych i matematycznych, profesorem Wydziału Ekonomii Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego.

Podaż ropy i gazu do UE maleje. Do czego może to ostatecznie

doprowadzić?

– Rzeczywiście, znaczna część energii zużywanej przez Unię Europejską pochodziła z Rosji, ich stosunkowo niska cena wynikała ze sposobu dostaw – przez rurociągi. Polityka sankcji zmniejszyła napływ węglowodorów i ich cena gwałtownie wzrosła. Niemożliwe jest znalezienie kompensującego w pełni te straty dostawcę zamiast Rosji. Ponadto Niemcy nie mają jeszcze miejsc do cumowania, aby przyjmować skroplony gaz LNG, będą musiały dużo oszczędzać, a energochłonne gałęzie przemysłu już się zamykają, nie wytrzymując wysokich cen i konkurencji z chińskimi towarami. Chiny, podobnie jak Indie, wykorzystują sytuację i otrzymują rosyjską energię ze zniżką. Oczywiście jest, że ich towary stały się tańsze. Niemcy postawili na Nord Stream 2. Ale został wysadzony w powietrze. Kto to zrobił, nie wiadomo, jedno jest pewne, że jest to korzystne wyłącznie dla Stanów Zjednoczonych.

Dlaczego Bruksela, Pana zdaniem, wybrała ścieżkę sankcji?

– Myślę, że Europejczycy zaakceptowali sankcje emocjonalnie i nie myśleli zbyt wiele o konsekwencjach. W rezultacie widzimy, że ograniczenia energetyczne szkodzą im bardziej niż Rosji. Stany Zjednoczone jako pierwsze porzuciły rosyjską ropę, ale łatwo było im to zrobić, ponieważ kupowały niewielkie ilości. W dzisiejszej UE nie ma silnego przywódcy jak Merkel, więc się przeliczyli.

Wydaje się, że celem Waszyngtonu jest deindustrializacja Europy, droga do jej osłabienia gospodarczego i jeszcze większego podporządkowania. Świadczą o tym trendy w dziedzinie energetyki. Na początku był zielony ład, który przerodził się w stały pomysł dla UE: poszli ścieżką eliminacji tradycyjnej energii we własnym kraju (tylko w Niemczech z 25 elektrowni jądrowych pozostały trzy). Ostatecznie okazało się, że zielone technologie nie są tak praktyczne.

– UE przeceniła znaczenie źródeł odnawialnych i są one

niewiarygodne. Czasami nie ma wiatru, czasem słońce nie grzeje. Niebezpieczeństwa związane z energią jądrową były przesadzone. Francja ma wystarczająco dużo elektrowni jądrowych i teraz śmieje się ze swojego odwiecznego rywala Niemiec. Nie sądzę, aby USA naprawdę chciały zdeindustrializować UE. Sami przywieźli swoje fabryki do Chin. Chcą je z powrotem u siebie, ale to nie działa. Główną konkurencją dla Amerykanów nie jest dziś UE, która już teraz gwałtownie traci na znaczeniu (w 2000 roku jej udział w światowej gospodarce wynosił 20,3%, a dziś tylko 14,9% to dane MFW). Świat podzielił się na dwa bloki: amerykański i chiński, w skład którego wchodziło 139 krajów inicjatywy „Jeden pas, jedna droga”. W przyszłości, nawet według zachodnich prognoz, chiński biegun będzie silniejszy, więc kolektywny Zachód zachowuje się tak konwulsyjnie – nikt nie chce oddać prymatu.

Centrum analityczne w Brugii (Belgia) oszacowało, że rządy UE przeznaczyły prawie 500 mld euro na wsparcie obywateli i przedsiębiorstw w obliczu gwałtownego wzrostu cen gazu i energii elektrycznej. Czy uważa Pan, że kwota ta wystarczy, aby przezwyciężyć obecny kryzys?

– UE jest wciąż wystarczająco bogata, aby pomóc płacić za energię swoim obywatelom, chociaż jak dotąd ratują oni własne firmy energetyczne przed bankructwem tymi pieniędzmi, a wtedy konieczne będzie uratowanie energochłonnych gałęzi przemysłu, a jeśli obywatele będą protestować na ulicy, będą musieli coś im dać. Krótko mówiąc, UE stoi w obliczu dwóch trudnych zim i wierzę, że więcej niż jeden rząd poda się do dymisji po tym, jak nie radzi sobie z problemami społeczno-gospodarczymi. Natomiast Białoruś skutecznie poradziła sobie z obecnymi wyzwaniami gospodarczymi, szybko restrukturyzując przepływy towarowe i tworząc nową logistykę.

[Źródło](#)

Jeśli rozum nie znajdzie drogi powrotnej do polityki europejskiej, spowoduje to nieodwracalne szkody. „Ambasador Rosji w Austrii ostro o UE”



Oto list Dmitrija Lubinskiego, ambasadora Federacji Rosyjskiej w Wiedniu, opublikowany przez austriacki tabloid „Exxpress” zbliżony do Partii Ludowej. W Polsce taki list nie miałby szans na publikację [Oficjalną, w meRdiach wysokonakładowych. Nie obciążamy naszego znaczenia. MD].

Mimo kilku kontrowersyjnych sformułowań redakcja „Exxpress” zdecydowała się go opublikować.

Jeden z czytelników napisał: „Dziękujemy redakcji za odwagę! Opublikowanie tego jest tak ważnym wkładem w wolność wypowiedzi i różnorodność, a prawdopodobnie w pokój! Wróćmy do stołu negocjacyjnego, zbyt wielu już ucierpiało i może być znacznie gorzej”.

Poniżej tekst ambasadora Dmitrija Lubińskiego:

„Od wielu miesięcy UE i jej państwa członkowskie dostarczają Ukrainie ogromne ilości broni, wbrew własnym i obowiązującym na arenie międzynarodowej zasadom kontroli eksportu. Co ciekawe, sprzęt ten jest również finansowany z tzw. „Europejskiego Instrumentu na rzecz Pokoju” – funduszu pozabudżetowego o budżecie około pięciu miliardów euro, finansowanego ze składek państw członkowskich UE. Na te „pokojoye” cele udostępniono już 2,6 miliarda euro.

Sprzęt wojskowy dostarczany przez UE, w tym ciężka broń dalekiego zasięgu, jest również szeroko wykorzystywany przez rząd w Kijowie do lekkomyślnego ostrzału miast i wsi, mieszkań i obiektów socjalnych, infrastruktury cywilnej i transportowej, zabijania niewinnych ludzi, osób starszych, kobiet i dzieci. Tylko zachodnia propaganda antykremłowska milczy na ten temat. W słusznej sprawie, jak mówią.

UE skrupulatnie ukrywa również prawdę o zagrożeniach, jakie takie „budowanie pokoju” stwarza dla bezpieczeństwa jej własnych obywateli. Broń przeznaczona dla Ukrainy (w tym MANPADS i przeciwpancerne pociski kierowane) trafia masowo na czarny rynek przy przyzwoleniu państwa i może wpaść w ręce terrorystów i przestępców w różnych zakątkach świata.

Już teraz coraz częściej dochodzi, w tym w Austrii, o konfiskacie przez policję nielegalnej broni „ukraińskiego” pochodzenia. Istnieje dosłownie groźba powtórzenia się scenariusza wojen bałkańskich, kiedy cała Europa została zalana nielegalną bronią palną z Bałkanów Zachodnich. Zbrodnicze echo tych wojen wciąż jest tu odczuwalne.

Jakby w szale antyrosyjskie ośrodki w UE, z aktywną ingerencją i podżeganiem ze strony USA i Wielkiej Brytanii, wykorzystują każdą okazję, aby promować kontynuację działań wojennych w regionie. Oprócz ciągłego szkolenia ukraińskich oddziałów paramilitarnych przez poszczególne państwa członkowskie,

przewidywane jest utworzenie misji szkoleniowej UE dla Ukrainy.

W świetle wspomnianych wyżej „wysiłeków pokojowych” Brukseli pojawiają się absolutnie uzasadnione pytania, które każdy myślący obywatel zadaje teraz lub musi zadać: **w jakim stopniu szkolenie nacjonalistycznych ukraińskich bojowników na europejskiej ziemi służy interesom pokoju?** W jaki sposób dostawy broni do regionu konfliktu mogą być wykorzystywane do tworzenia pokoju na kontynencie europejskim, wbrew rządowi prawa? Przeciwno komu jest i czy ta machina wojenna będzie skierowana w ostatecznym rozrachunku?

I wreszcie, co nie mniej ważne: czy nie byłoby bardziej sensowne, aby UE, zamiast tańczyć w takt skrzypiec Zełenskiego i faszerować Ukrainę bronią, i szkolić morderców, pamiętała terminy takie jak „pokój”, „pokoje współistnienia”, „wzajemne bezpieczeństwo” lub po prostu „stół negocjacyjny”?

A może zasady „wspólnoty wartości”, które próbuje się narzucić całemu światu, po prostu już na to nie pozwalają?

Zachód jest obecnie w prawdziwym antyrosyjskim szaleństwie. Polska, poprzez swojego byłego ministra spraw zagranicznych Sikorskiego, dziękuje USA za sabotaż na gazociągu Nord Stream. Estoński minister spraw zagranicznych Reinsalu gratuluje ukraińskim siłom specjalnym przeprowadzenia aktu terrorystycznego na Moście Krymskim.

Są też inne przykłady. Kijowskie marionetki już wzywają swoich łalkarzy na Zachodzie do przeprowadzenia wyprzedzającego ataku nuklearnego. Morderstwo, sabotaż, zniszczenie, prowokacja i inscenizacja – wszystko jest dozwolone, jeśli jest skierowane przeciwko Rosji. Ale wszelka cierpliwość ma swoje granice.

Jeśli rozum nie znajdzie drogi powrotnej do polityki europejskiej, może to spowodować nieodwracalne szkody. Najwyższy czas się obudzić.

Europejczycy winni



Komentarz Eleison nr DCCXCVI (796)

15

października

2022 <https://fsspqr.wordpress.com/komentarze-eleison/>

Komentarze Eleison Jego Ekscełencji Księdza Biskupa Ryszarda Williamsona

Jest stare dobre przysłowie, być może chińskie, które mówi: „Mądry człowiek obwinia siebie, głupiec obwinia innych”. Nie oznacza to, że inni nigdy nie są winni, ale kiedy uznaję, że ponoszę choćby część winy, to mogę sam być zdolny zrobić przynajmniej coś w tej sprawie, podczas gdy często ryzykuję, że będę bezsilny, próbując nakłonić tych, których chcę obwinić, do zrobienia czegokolwiek. Na przykład w dzisiejszym pędzie ku potencjalnej katastrofalnej trzeciej wojnie światowej niektórzy Europejczycy ulegają pokusie obwiniania Stanów Zjednoczonych lub Żydów stojących za Stanami Zjednoczonymi za samobójczą ślepotę narodów europejskich, zachowujących się jak marionetki Stanów Zjednoczonych. Ale w szerszej perspektywie Europejczycy byłiby mądrzejsi, gdyby obwiniali samych siebie.

To prawda, że Żydzi sprawują ogromną władzę w Stanach

Zjednoczonych, tak że według doniesień czterech z pięciu członków gabinetu, przy pomocy którego prezydent Biden rządzi krajem, to Żydzi, co bez wątpienia jest jednym z powodów, dla których zyskał on przydomek „Prezydent Bidenstein”. Ale któż jest odpowiedzialny za wybór prezydenta Bidena, lub przynajmniej za to, że nie wystąpił przeciwko totalnemu oszustwu jego „wyboru” w 2020 roku, jeśli nie naród amerykański jako całość? A jeśli Europejczycy chcą obwiniać Amerykanów jako całość, to kim są Amerykanie, jeśli nie zasadniczo potomkami Europejczyków, którzy wyemigrowali za Atlantyk od czasów reformacji? Czyż odpowiedź Charlesa Coulombe’a na pytanie, kto jest kluczową postacią w historii USA, choć zaskakująca na pierwszy rzut oka, iż **jest nią Anglik – król Henryk VIII**, nie jest w rzeczywistości bardzo słuszna? Coulombe nazwał swoją historię Stanów Zjednoczonych „Postępem Purytanów”. Religia ma tu bowiem decydujące znaczenie.

Bliżej naszych czasów, kto inny, jak nie Europejczyk, podpisał Deklarację Balfoura, obiecującą Żydom Ziemię Świętą, jeśli wciągną USA w I wojnę światową po stronie Anglii i Francji? I kto, jeśli nie Europejczycy, dla osiągnięcia tego samego celu, zaaranżowali podstępne zatopienie „Lusitanii” ? Kto, jeśli nie Europejczycy, był odpowiedzialny za to, że amerykańscy żołnierze przechylili szalę wojny na niekorzyść Niemiec w 1918 roku, zapewniając tym samym, że amerykańscy dyplomaci, z ich prezydentem Wilsonem, odegrają również zdecydowaną rolę w kształtowaniu Traktatu Wersalskiego w 1919 roku, który miał doprowadzić do wybuchu II wojny światowej?

A kiedy wybuchła w 1939 roku, co stało się wielką nadzieją Europy, by przeciwstawić się potędze militarnej odrodzonych Niemiec, jeśli nie ponowne sprowadzenie na pomoc Stanów Zjednoczonych, co też prezydent Roosevelt osiągnął podstępem w Pearl Harbour w 1941 roku? A po II wojnie światowej, kto, jeśli nie Europejczycy, polegał na Stanach Zjednoczonych, aby utworzyć i w dużej mierze zapłacić za sojusz obronny NATO, aby chronić Europę Zachodnią przed groźbą inwazji Armii Czerwonej

ZSRR? Czy można winić prezydenta Trumpa za to, że chciał, aby Europa płaciła za swoją własną obronę?

Ale dlaczego Amerykanie mieliby rację uważając Europejczyków, wtedy i teraz, za zbyt tchórzliwych i zniewieściałych, by byli w stanie sami bronić „Zachodu”? Ponieważ, jak powiedział Hilaire Belloc: „Wiara to Europa, a Europa to wiara”. Tymczasem Europa stale traci Wiarę, w szczególności od czasu reformacji, która otworzyła drogę judeomasonerii do rozpoczęcia przekształcania „chrześcijaństwa” w „cywilizację zachodnią”, poprzez proces dekadencji, który osiągnął swoje apogeum wraz z Soborem Watykańskim II (1962-1965). To nie Potomac, rzeka Waszyngtonu, stolicy USA, ale cztery kraje Renu, które wpadły do rzymskiego Tybru: Francja, Niemcy, Holandia i Belgia.

Europejczycy mogą zarzucić Soborowi Watykańskiemu II „amerykanizację” Kościoła, i jest w tym sporo racji. Amerykańscy kardynałowie i biskupi na Soborze energicznie promowali przyjęcie przez Kościół Katolicki ideału „wolności religijnej” z ich własnego kraju, nie mieli oni jednak większości głosów na forum Soboru. Kto miał? **Francuzi, Niemcy, Holendrzy i Belgowie.** To właśnie oni doprowadzili do chwilowego zwycięstwa liberalizmu nad Kościołem katolickim, ale miejmy cierpliwość. Wszechmogący Bóg nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.